Lwów 25. Sierpnia. Nr 101. Rok 1855.

NOWINY

Wychodzą we *Wtorek, Czwartek i Sobotę*. We Lwowie prenumerata roczna 6 Złr. półr. 3 Złr. kwartal. 1 Złr. 30 kr. miesięczna 40 kr. m. k. W kraju z przesełką pocztową rocznie 8 Złr.— półrocznie 4 Złr.—kwartalnie 2 Złr. m. k. Rycin y mód kwartal. 1 Zł. 20 kr.

Ogłoszenia wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłatą od wiersza pismem petyt w przedziałce za jednorazowe umieszczenie po 3 kr. za następ. po 1 1/2 kr. i zadopłatę 10 kr. stępl. za każdorazowe umieszczenie. Bióro expedycyi w księgarni *H. W. Kallenbacha*

JAK SIĘ U NAS ŻENIĄ.

Obrazek spółczesny.

IV.

W SALONIE.

(Ciąg dalszy.)

— Tak, powiedział Szpakowski połykając piąty z kolei pączek, nie przestałeś marzyć o posagu, i jak widzę zawsze wierzysz w posag; ja ci się przyznam, że zaczynam tracić wiarę w posag, który wydaje mi się być ładną bajką, złudzeniem, mytem!... I uderzyłeś do tego w salony!.. daj ci Boże tam szczęścia i wszelkich sukcessów.

— Jużciż spodziewam się, odrzekł Felix trochę urażony lekkim Szpakowskiego tonem — że jeżeli gdzie można zdybać żonę posażną, to w salonowem kole towarzyskiem gdzie...

— Wszystko świeci! ale ty znasz przysłowie: „Nie wszystko złoto....“ to przysłowie da się najlepiej zastosować do naszych salonów. Tam są wprawdzie i przedstawicielki wielkich fortun, ale te patrzą wyżej i nie znajdują odpowiednich swoim wymaganiom partyj w kraju dość znakomitych, idą więc za zagranicznych książąt i grafów. Tłum zaś panien, które gonią po salonach za mężem, w podobnem twemu jest położeniu.

— Mój kochany gadasz o tem, czego nierozumiesz, czego nie znasz, bo nie żyłeś życiem tych wyższych...

— Wierz mi Felixie, że w naszym świecie, do którego jak wiesz należą Kruczkiewicz et consortes, najdokładniej znają całą istotną wartość tych waszych wyższości! Dla was bowiem w salonach jest wystawa powierzchowna jedyną oznaką rzetelnej wartości, a dla nas mój drogi *tabula* i to tabula, na której poznaniu prawdziwej wartości także trzeba nie mało zębów zjeść, żeby się nie oszukać. I jabym sądził, byś pierwej zapytał się o radę tej rzetelnej przyjaciółki zanim wdasz się w małżeństwo.

— Fi donc! pleciesz okropnie.. ty okropnie zniżyłeś się mój Szpakowski.... przecież siostra moja...

— Zapewne że ma rozum, bo i wdowa i bogata. Szkoda tylko, że nie dają dyspens dla brata i siostry, jej tabula jest wzorowo czysta i przyzwoita.

— Ona zna towarzystwa, odpowiedział Felix, i pod jej to opieką...

— Opieka dobra, nie zaprzeczam, ale i ona młoda jeszcze, może także rozkochać się, a w takim razie namiętność zagłusza rozum... I nawet coś słyszałem, o jakimś młodym...

— Co słyszałeś, o kim?

— Nic z pewnością... ot tak brednie.. bajki...

Nadaremnie wypytywał go pan Felix; nic się więcej nie dowiedział, czy w rzeczy samej Szpakowski plótł na wiatr, czy chciał może na przyszłość zachować pewne wpływy; dosyć że Szpakowski ani słowa więcej o tem nie rzekł. I skończyło się na tem, że Felix zapłacił śniadanie, i w końcu jeszcze musiał *pożyczyć* Szpakowskiemu kilka piątek, co wszystko w najfatalniejszy wprowadziło go humor.

Rachunki Szpakowskiego co do późniejszych na Felixa wpływów były wszakże zupełnie mylne, bo pan Felix bojąc się nowych do kieszeni swojej przemów, unikał go jak ognia, i nigdy dla niego nie był w domu.

Lecz już czas pójść na ten zapowiedziany wieczorek u kochanej i poczciwej pani Rembiny, czas poznać się z owemi posażnemi pannami, których to niby przegląd miał się u niej odbyć. Zapraszam więc z sobą.

Nie będę się rozwodził nad opisem wieczorku u pani Rembiny. Odbył się jak wszystkie tego rodzaju wieczory, gdzie wszyscy zapowiadają, że się będą bawić, chwalą się nawet z tego, a przecież na prawdę nudzą się nieraz okropnie. I nie może być inaczej tam, gdzie wszystko już jest naprzód ułożone, i skrupulatnie wyrachowane pod miarę i wagę konwencionalnej przyzwoitości, głupiej mody lub obrzydliwej etykiety, tam gdzie wszystko bez życia, bez swobody, wszystko wymuszone, nienaturalne i jednostajne. Takie wieczory z całą swą rozmową nierozmowną, z tańcami nieskocznemi, zabawą nie wesołą przypominają poniekąd młyn koński z tą wiecznie w kółko zakręconą, doskonale udeptaną ścieszką.

Lecz mniejsza o krytykę tych zabaw. Kiedy innym dobrze z niemi, a cóż mnie do tego? Wracajmy więc do naszego wieczorku.

Pani Rembina serdecznie przyjęła panią Kopycińską i jej brata. Już to sama przed wszystkiemi mówiła, że czuje jakiś niewymowny pociąg do tej ślicznej wdówki, jakiś rodzaj sympatyi niepojętej. Uczucia tego nie dzieliły inne panie, dla których Kopycińska choć była młodą i *nie źle* urodzona, była zawsze „*une parvenue*“ tylko. To też gdy

wchodziła do salonu, nie jeden wachlarz zakrył uśmiech litośnie-szyderczy:

— *Une Kopycińska*.... mówiła do sąsiadki pani Torkoska, która choć się postarzała, niemniej przeto lubiła wszelkie zabawy, przy której odgrywała rolę alarmującego dzwonka, donośnego i piskliwego.

Mężczyzni zaś przeciwnie dzielili zupełnie zdanie pani Rembiny i pani Kopycińska przypadała im bardzo do smaku. Jakoż nie brakowało jej konkurentów, którzy otoczyli ją czarną chmurą i prawdziwie gawronią wrzawą. Przez wzgląd na tak miłą siostrę z bratem nie źle się obchodzili, chociaż w duszy drwili z parafiaństwa, którego wedle nich pan Felix żadną miarą pozbyć się nie mógł. Ani mu też tego przebaczyć nie mogli, że wlazł do ich dziedziny, i tam śmie polować na tak szlachetną zwierzynę, jaka jest panna posażna.

Pani Kopycińska chociaż otoczona kołem wielbicieli, nie zdawała się wszakże bardzo tem radować. Przeciwnie wszystkie najczulsze wyrażenia puszczała mimo uszów, a oczy jej inną zapewne myślą kierowane, błądziły poza otaczające ją grono. Zdawała się kogoś szukać. I znać znalazła, bo mimowolnie oczy jej wyższym zatlały promieniem, lecz wnet zgasł żywy promień, jakby mgłą jakiegoś posępniejszego uczucia przyćmiony. Ktoby z uwagą spojrzał za kierunkiem jej oczów, byłby dostrzegł pana Artura stojącego przy oknie.

Piękny jak zawsze, ustrojony jak zawsze, lecz jakże zmieniony. Przeciw zwyczajowi salonowym młodzieńcom właściwemu był zamyślonym. W oczach zwróconych ku drzwiom, był jakiś wyraz cierpki, znudzony, smutny. Nie balowe mu myśli zapewne biegają po głowie. Jakkolwiek mniej świetny i błyszczący jak zawsze, był on wtej chwili daleko piękniejszy.

Pani Rembina tymczasem przybiegła do pani Kopycińskiej, i jeszcze raz pozdrowiwszy ją, zapytała:

— Gdzie twój brat? ma très chère.

— Tu nie daleko odrzekła, wskazując na miejsce, gdzie pan Felix sobą zadowolony, przybierał rozmaite postawy dramatyczno-romantyczne. Pani Rembina postrzegła go.

— Mais il est très bien! zagadła, il a quelque chose de noble! Owoż, mon amie, muszę go prezentować.

— Więc nasze herytiery są już tu?

— A jest ich kilka, odpowiedziała gospodyni.

I zaczęły się zapowiedziane przedstawienia. Pani Rembina, jako kobieta znająca świat i ludzi, oczywiście nie zaczynała od tego, by kawalera przedstawiać pannom, które miały być celem jego zabiegów. Jest to ceremonia, która się na później odkłada. Starający się musi przedewszystkiem przedstawić się ojcom i matkom, wszystkim ciotkom i wujom, kuzynkom i matkom chrzestnym, starszym braciom i starszym siostrom. A ponieważ dowiedzioną jest rzeczą, że wszystkie majętniejsze panny na wydaniu, mają ogromnie liczny orszak takich *dodatkowych* figur rodzinnych, które się niemi, poniekąd z wielkiem uczuciem, opiekują, więc wzdychający kawaler nie ladajaką ma do przebycia łaźnię gorącą, zanim się pozna z niemi wszystkiemi. Lecz to nie dosyć! poznać mniejsza, ale trzeba się prócz tego starać i to po formie o łaskę tego całego orszaku duchów opiekuńczych, które zwykle otaczają pannę z niezmordowaną wytrwałością. Trafiaj że dopiero w humor tych wszystkich ciotek, wujanek i stryjanek!

Wczorajsza naprzykład ciotunia, co tak placu dosiadywała, była bardzo wesołą, lubiała się śmiać koniecznie, i żądająca by ją samemi dowcipami karmić. Musiałeś więc biedny Adonisie grać w ciuciubabkę za dowcipami, i Bóg wie ileś razy rozbił sobie nos o głupi piec, zanim złapałeś coś podobnego do dowcipu.

Dzisiejsza wujanka przeciwnie jest tak sentymentalna, a czuła, a łacno dotkliwa gdyby wierzba płacząca. Musisz więc jej opowiadać miłośne dzieje wszystkich pokoleń kochających się, i płakać jak bóbr nad losami wszystkich zakochanych lunatyczek.

Jutrzejsza stryjanka każe ci opowiadać historje o duchach, strachach, wracających duszach, pokazujących się widmach, pilnujących skarbów po zaklętych zamkach, i inne tem podobne absurda, które musisz dobywać, jeżeli nie z pamięci, to z bujnej wyobraźni, przyczem z wielkiego strachu przez twoje opowiadanie wzbudzonego, zostaniesz należycie wyszczypany.

Inna ma znowu niepohamowany zapał do wierszów, i każe ci po całych godzinach deklamować, a od czasu do czasu zada ci pensum jakie, byś się na drugi dzień kilkołokciowych a nudnych wierszów na pamięć nauczył, albo nawet, co gorsza, własnej fabrykacyi wierszami do *Album* się wpisał!

I gdybyś miał sto rozumów, a zebrał w tej mierze doświadczenia najrozliczniejsze, nie raz przecie zapomnisz języka w gębie, gdy ci który z duchów opiekuńczych wyjedzie z nową jakąś a zupełnie niespodzianą fantazją. Wszakże znałem sam ciotunię jedną, nieprzymawiając okropnie brzydką, która mi kazała przynosić sobie kosteczki z cmentarza, i Bóg wie, jakich innych wymagała okropności, które skrobiąc się w głowę, wypełnić musiałem.

Lecz tego wszystkiego jeden człowiek, gdyby najjenialniejszy nie spisze, i w rzeczy samej wartałoby, gdyby się zebrało towarzystwo niby akcjonariuszów konkurenckich, którzy już odbywali podobne starania się, żeby weszli w korespondencje z innemi miastami i krajami, i tak razem ułożyli rodzaj konkurenckiego *Conversationslexikonu* dla użytku starających się kawalerów; a tem z własnego doświadczenia napisanem dziełem sztuka, „starania się” zyskałaby ogromnie.

A prócz tych nie zabawnych zabiegów i trudów, ileż ten biedny kawaler przebyć musi kosztów. Pomijam już wszystkie loże teatralne, wycieczki na wieś, i w jakieś tam romantyczne miejsca, małe prezenciki, które wedle zdań tych opiekunek utrzymują przyjaźń, ale prócz tego kieszenie twoje mienią być niezgłębioną przepaścią, napełnioną cukierkami, pomarańczami i wszego gatunku bakalijami; bo te wszystkie ciotunie miewają zwykle porządną porcją drobnego zarybku, który u nas jest tak wcześnie dowcipny, że instynktowo zaraz zwietrzy starającego się, a zwietrzywszy zakłada nań nieznośną a codzienną kontrybucją, z wielką pociechą matek, radujących się dowcipem lubego potomstwa.

Lecz przepraszam za ustęp, który zasługuje by był osobno i to z wielką starannością wyświecony, i wracam do dalszego wątku tej arcyprawdziwej powieści.

Po tych dopiero ceremonialnych przedstawieniach, mógł pan Felix przystąpić do przeglądu zebranych w salonie pani Rembiny herytierek, i wybrać sobie z nich do gustu podwójnego, bo i dla serca i dla kieszeni, dla towarzyszki i dla posagu. Jest to wybór ogromnie trudny, bo zwykle oba gusta znajdują się w smutnem przeciwieństwie, i choć czasem ozwie się ten tak rzadki i przez pisarzów z całego świata, aż do przesycenia ogadany pociąg serca, pociąg metalowy przeważa zwykle!

Takich więc panien bogatych na wydaniu było rzeczywiście kilka w salonie pani Rembiny. Lecz czy to nieszczęśliwy zrządził przypadek, czy umyślna lub nieumyślna niezgrabność Rembiny, wybór był co do powierzchowności nader nieszczęśliwy. Twarze bowiem szanownych herytierek były, aby się wyrazić najdelikatniej, wcale nie ładne. Pana Felixa wszelako, którego golizna Wyżniowiecka już mocno znudziła, nie byłoby to bynajmniej odstraszało. On był gotów uklęknąć przed ową garbatą Magdusią, i przysiądz jej wieczną miłość, opierając się na tym axiomacie że miłość jest *ślepą*.

Lecz inna go a daleko ważniejsza wstrzymywała myśl. Jak to się dokładnie a autentycznie przekonać o różnicy posagów?, którać przecie stokroć ważniejsza od różnicy garbu i oczów zezowatych. Wprawdzie poczęści Rembina a po części siostra szepnęła mu to i owo o przytomnych, posażnych pannach, ale za nadto ogółowo, aby tak łatwo mógł się nasz pan Felix zdecydować. Pocił się więc nieborak i za prawdę miał czego.

Już to u nas z temi posażnemi panami jest szczególna okoliczność. Nigdzie tak jak u nas nie *gadają* tyle o znakomitych posagach, i nigdzie za niemi takich wściekłych nie odbywają gonitw. A jak przyjdzie co do czego, tych wielkich posagów domacać się nie można. Właśnie w chwili najpożądańszej albo znikają nagle i zupełnie, jak fatamorgana, albo przynajmniej zmniejszają się w oka mgnieniu, jak lód promieńmi słońca trafiony.

W ogóle nasze herytiery dzielą się na trzy główne oddziały:

Na herytiery co mają rzeczywiście wielki i pewny, przez szczęśliwe zdarzenia rodzinne już zlikwidowany posag.

Na herytiery, które się dopiero spodziewają wielkiego kiedyś posagu po szczęśliwem przeżyciu najzdrowszych stryjów i najmniej chcących umierać ciotek lub nawet rodziców.

Na herytiery nareszcie, którym się zdaje, że będą miały posag, bo od dziecka słyszą to głoszone zdanie, i rozpuszczane po świecie przez całe otaczające je kółko.

Pierwsze są zapewne najponętniejsze i najpożyteczniejsze w praktycznem rozumieniu rzeczy. Lecz zarazem najrzadsze i najtrudniejsze do zdobycia. Przypominają one trochę owe kwiatki czarodziejskie, które tam tylko gdzieś raz w roku i to o samej północy kwitną, w assystencyi grzmotów, duchów i innych okropności.

Drugi gatunek posażnych panien byłby najłatwiejszy może do zdobycia, ale nie jest koniecznie bezpieczny, a osobliwie dla kawalerów potrzebujących się prędko ratować gotówką. Można bowiem żyć długie lata przy wielkich nadziejach o głodzie i chłodzie, i dostać na końcu chleb gdy już zębów nie ma! A prócz tego ile to przemian nie raz następuje, przemian nie dających się rozumem ludzkim przewidzieć. Znałem jednego co się ożenił z niewątpliwą jedynaczką, mającą najliczniejsze perspektywy na piękny majątek, ale gdy przyszło po latach dwudziestu do sukcessyi, musiał się biedaczysko dzielić z dziesięcioma współdziedzicami, któremi rodziców jego żony pan Bóg pobłogosławił już po wyjściu za mąż jedynaczki.

Trzeci gatunek nareszcie panien posażnych jest najniebezpieczniejszy i podobny, by użyć figury retorycznej, do przepaści kwiatami zasłanej. Bo jak wpadniesz, jużeś przepadł, miasto bowiem kwiatów znajdziesz ciernie i głogi, a miasto upaść na miękkie posłanie z posagowej rzeczywistości ułożone, wpadniesz i tłuczesz sobie boki w bezdennej przepaści złudzeń tabularnych, które są najokropniejszemi w świecie złudzeniami.

Owoż w towarzystwie zebranem u pani Rembiny, były przedstawicielki wszystkich trzech rodzajów wyżej opisanych panien na wydaniu.

Panna Filomena należała do pierwszej kategoryi, i to w ilości jak twierdzono półmiliona, czy nawet więcej. To też wzbudziła większe wrażenie w towarzystwie, niżby je wzbudził stary Napoleon, lub inny wielki nieboszczyk, gdyby mu przyszła fantazja przespacerować się po świecie salonowym. Czuła też panna Filomena tak swoją rzeczywistą wartość, że ani myśleć było przystąpić do niej bez znakomitego majątku, lub jakiego wielkiego tytułu przynajmniej. Jak okręt trzymasztowy pływała też po salonie, kawalerowie jak szalupy kanonierskie i fregaty, zdala tylko i z uszanowaniem okrążali ją.

Sama nawet pani Rembina nie uważała za rzecz bezpieczną by nasz pan Felix w tę stronę uderzył.

— Przypadek może zdarzyć! mówiła do niego, ale rzecz arcytrudna, bo tam podobno czekają na jakąś mitrę, Szkoda zda mi się czasu i atłasu.

— W to się nie wdawaj, mówiła siostra. U niej nic nie wskórasz, strawisz wiele czasu i zdyskretujesz się tylko u drugich.

Pan Felix nic na to nieodpowiadał, połknął ślinkę, i pociągnął ku przedstawicielkom drugiego rodzaju herytierek. Było ich trzy czy cztery. I jak na to były wszystkie najbrzydsze. Panna Magdalena była pomiędzy niemi najbogatsza i najbrzydsza. Więc ją niby rozum wybierać kazał. Lecz gdy się już do niej zbliżał pan Felix, zadrzał cały przed jej okrutnym garbem, noskiem do góry zadartym, minką odpychająco-dumną i otoczeniem bastionowem, złożonem aż z dwóch ciotek, o spojrzeniu złośliwem, po których to dopiero śmierci panna Magdalena miała odziedziczyć ogromny majątek, któremu wszyscy dawali dowolne znaczenie cyfrowe.

Najwięcej czuł pociągu pan Felix do trzeciego rodzaju, którego nie złym *exemplarzem* była panna Eulalja. Młoda i przystojna mogła się na prawdę podobać; a co do posagu, była sama romantycznie przekonaną, że będzie miała ładny majątek. To jednak jej przekonanie nie chciało jakoś wchodzić w życie, bo byli znowu inni matematycznie przekonani, że rodzice panny Eulalii ostatkami gonią i radziby tylko pierwej córkę dobrze za mąż wydać, aby potem bankructwo ogłosić. (C. d. n.)

GŁOŚNA PIOSNKA.

(Z Heinego.)

W moje nadto ciemne życie
Błysnął niegdyś jasny cień,
A gdy zniknął, odtąd w duszy
Niezaświtał biały dzień.

Gdy jest dziecię śród ciemności,
To się strachem nęka duch,
Więc z obawy spiewa głośno,
By zagłuszyć pieśnią słuch.

Ja szalone dziecię spiewam,
Krocząc wiecznie w ciemnych mgłach,
I choć brzmi piosenka dźwięcznie,
Jednak mię nie nęka strach.

Romuald K.....

Niegdyś a teraz.

(Z Heinego.)

Śniłem ja niegdyś o miłości dzikiej,
O pięknych włosach, o mirtach i rucie,
O słodkich ustach i bolesnych słowach,
O smutnej pieśni i posępnej nucie.

Zbladły sny lube i przewiały dawno,
Rozwiał się nawet gdzieś mój obraz senny;
Zostało tylko com w żałośne rymy
Przelewał dziką miłością płomienny.

Zostałaś pieśni! Przepadnij sieroto,
I szukaj kształtów z których tylko cienie,
A gdy odszukasz, pozdrów je odemnie,
Powiewnym cieniom szlę powiewne tchnienie.

Romuald K.....

Z pamiętników.

I.

(Dokończenie.)

Gniewała mnie ta nieczynność, i nieprzewidziany koniec formacyi, kiedy na moje szczęście zdarzyła się awantura, która mnie wyratowała z formacyjnych preliminariów. Miało być jak mówiłem trzy legie zjednoczone; dowództwo tych legii wódz naczelny oddał pułkownikowi Błędowskiemu, dawnemu wojskowemu, i obywatelowi z prowincyj zabranych. Dwa pierwsze numera złożone z wołyniaków, podolaków i ukraińców były zadowolone z tego wyboru, nie tak chorągiew nasza, w której wielkie było stronnictwo za Hordyńskim, by on był naczelnikiem wszystkich trzech legii. Do tego stronnictwa mało kto z nas należał, bo my chcieliśmy uchodzić za żołnierzy karnych i niewdających się w sejmiki, ale za to należeli akademicy wielce krzykliwi.

Owoż naznaczono wszystkim trzem numerom dzień i godzinę zejścia, aby nas obejrzał Błędowski, i objął komendę, kazano nam przyjść na godzinę dziewiątą do ogrodu Saskiego. Niewiem czy przypadek, czy nieporozumienie jakie zrządziło, że Błędowski nie przyszedł aż po dwunastej, co niekoniecznie zgrabnym było postępkiem. Z początku stały wszystkie trzy legje, zawsze na pieszo, w regularnych oddziałach, dwa pierwsze numera od wchodu, nasza chorągiew ostatnia, a ta podzieloną była na trzy niby szwadrony, z których jeden był z naszych złożony, a dwa drugie z samych prawie akademików.

Ale po dłuższym czasie znudziło się to młodzieży, tem więcej, że było zimno, i jakoś nieprzyjemnie, bo na czczo. Naprzeciwko uśmiechała się do nas cukiernia Lursa

a więc pomału zaczęła młodzież zaglądać do niej, i nie jeden jak to się trafia zakropił się może nad miarę. Po dwunastej, a zatem po trzech godzinnem oczekiwaniu, na które coraz głośniej szemrano i kryczano w szeregach, przybył nareszcie Błędowski w pełnym mundurze, a za nim ów wspomniony przezemnie formator Wereszczyński w długim brązowym surducie i z szpicrutem w ręku.

Wiedzieliśmy o nim, że ma być adjutantem pułkownika Błędowskiego. Gdy przechodził wzdłuż pierwszych szeregów, milczenie panowało regulaminowe, lecz gdy się już zbliżył do nas, akademicy wrzasnęli nagle: Niech żyje Hordyński, chcąc tym sposobem okazać że Hordyńskiego nie Błędowskiego chcą mieć pułkownikiem. Chcąc to poprawić, wrzasnęliśmy, a za nami pierwsze dwa numera: Niech żyje nasz pułkownik Błędowski. Na to akademicy jeszcze głośniej i gwałtowniej: Niech żyje nasz pułkownik Hordyński. Błędowski szedł powoli i chciał niezważać na te niesforne krzyki, co może było najrozumniejsze. Niecierpliwszy od niego Wereszczyński ozwał się:

— Kiedy pułkownik przechodzi, w szeregu milczeć trzeba!

Uwaga była więcej jak słuszna, gdyby nie długi surdut cywilny i szpicrut mówiącego. Akademicy rozgniewali się i nuż krzyczeć:

— A ty kto jesteś, abyś nam nauki dawał, ty cywilisto!.

Szeregi się połamały, krzyk się wzmagał, i jak to bywa w takich razach, zapał stawał się coraz namiętniejszym. W jednej chwili Błędowski i Wereszczyński byli otoczeni.

— Na gałęź z długim surdutem odzywały się głosy akademików.

Nadaremnie perswadował Błędowski. Zawzięci krzyczeli nawet na niego, miotając groźby. Położenie obydwóch było nader przykre, mianowicie Wereszczyńskiego który pobladł okropnie. Z początku staliśmy nieruchomie, nie chcąc łamać przepisanego porządku, lecz widząc że to nie przelewki, puściliśmy się ku akademikom, aby uwolnić pułkownika i adjutanta. Byliśmy wprawdzie w mniejszości, ale prawie wszyscy w mundurach, a więc przy szablach. Nie będę się rozpisywał nad szczegółami tej przykrej sceny, było wiele krzyku i guzów niemało, ale postawiliśmy na swojem i wyprowadziwszy obu z ogrodu, wsadziliśmy do dorożki.

Awantura trwała jeszcze dłużej, bo jednego z pomiędzy nas, który najwięcej gardłował, akademicy chcieli gwałtem porwać, i kto wie co by się było stało, bo nasi już się byli rozeszli, gdyby nie przyjazd gubernatora miasta, który nadjechał dowiedziawszy się o tej głupiej historyi. Nazajutrz i w dnie następne pojedynków było bez liku, a ja widząc to wszystko, wystąpiłem z szanownej chorągwi, ktora była zarodkiem późniejszej chorągwi nadwiślańskiej, której pierwsze dwa szwadrony ledwie w czerwcu wyjść mogły na linię bojową.

Idąc za radą niektórych posłów, których poznałem, i za ich wstawieniem się, udałem się do komissyi rządowej wojny, aby mnie przydzielić raczyła do oddziału Dwernickiego. Dostałem nominacją na podporucznika, i rozkaz udania się do jenerała Dwernickiego, oddany do jego dyspozycyi. Najszczęśliwszy byłem z tego, bo działo się to już w drugiej połowie lutego, a więc po bitwie przed Stoczkiem, która Dwernickiego postawiła w sercach naszych na wysokości młodzieńczego zapału.

Namówiwszy jednego z kolegów by jechał ze mną, wyruszyliśmy we dwóch, dnia 20 lutego, jeżeli się nie mylę z Warszawy. By prawdę wyznać, położenie nasze było nie wesołe, nikt z pewnością nie wiedział gdzie się znajduje w tej chwili jenerał Dwernicki, który się uganiał za Kreutzem i księciem Wirtembergskim. Wojska rossyjskie stały już pod samą Pragą, a nawet jak wieść nosiła przechodziły tu i owdzie przez ściętą jeszcze mrozem rzekę, tak że komunikacja z Dwernickim jeżeli nie całkiem była przeciętą, to przynajmniej przerywana, a zatem dla dwóch niedoświadczonych partyzantów nie koniecznie bezpieczna. Niewstrzymało to nas ani chwilę, młodzi ludzie wierzą zawsze w własną szczęśliwą gwiazdę.

Siadłszy więc na konie, ja przy pałaszu, kolega Studzieniecki przy lancy, pożegnawszy kolegów w Warszawie zostających, i zaczerpnąwszy ducha z manierki, którą naturalnie jako konieczność rynsztunkową kupiłem, puściliśmy się w drogę, kierując się ku miasteczku Górze, gdzie Dwernicki był przed kilką dniami. Początek całej wyprawy nie był zbyt wesoły, bo w okolicy Góry znaleźliśmy wszystko nie tak spustoszone, jak raczej przestraszone i wyludnione. Co krok inne dochodziły nas wieści, a wszystkie mniej więcej godziły się na to, że jenerał ruszył w Sandomierskie i że komunikacja do niego przecięta oddziałem moskiewskim, stojącym w okolicy Nowejwsi. Puściliśmy się więc na manowce rozmaite, aż w nocy przecie lepszego dostaliśmy języka. Dwernicki po potyczce pod Nowąwsią, puścił się za oddziałem ks. Wirtemberskiego, odciąwszy go od innych korpusów, i spiesząc za nim a goniąc przed sobą ku Wiśle, chciał go tam zniszczyć zupełnie.

A że odcinając go zrobił naprzód marsz flankowy, ztąd urosło mniemanie że się udał w Sendomirskie, gdy tymczasem rzeczywiście jenerał bocznemi drogami dążył za Wirtemberskim ku Kozienicom. Dowiedziawszy się o tem, z dodatkiem oczywiście o patrolach Kozackich, dochodzących prawie aż na drogę, którą jechać mieliśmy, co jak się później pokazało było czystą bajką, najęliśmy dla pospiechu jakąś furkę i przyczepiwszy do niej konie nasze, pomknęliśmy nocą dalej.

Równo ze świtem zdybaliśmy forpoczty nasze. Uczu-

cie jakiego doznałem było nie do opisania. Pierwsze to było wojsko regularne zdybane już na linii bojowej; byłem zatem prawdziwym już żołnierzem, członkiem tego zwycięzkiego oddziału. Na koń siadłszy zajechaliśmy przed jakiś dworek, w którym jeneralska była kwatera.

Pierwszego prawie zdybałem Anastazego Dunina, adjutanta przy Dwernickim, i od pierwszej chwili uczuliśmy skłonność ku sobie, której gdy się później ustaliła, zostaliśmy oba wierni, ja dziś chowając pamiątkę jego w sercu, a on aż do Boulogne, gdzie zginął w wyprawie naprzeciw Ludwika Filipa, przez dzisiejszego cesarza Napoleona III. przedsięwziętej. On mnie wprowadził do jenerała szukającego na mapie bliższej drogi, którą by mógł ubiedz dzielnie umykającego nieprzyjaciela. Poznałem już był dawniej jenerała Dwernickiego, ale nie zdało mi być rzeczą przyzwoitą przypominać mu się; oddałem mu tylko papiery moje z komissyi rządowej wojny, i czekałem z całą służbistością, na jaką się zdobyć mogłem, na jego ozwanie się.

Znamy wszyscy jenerała Dwernickiego, i wiemy, jak miłą, poczciwą i szlachetną ma powierzchność; lecz trzeba było w ówczas widzieć, i przebyć z nim całą tę męczącą wyprawę, w której on przyzwyczajony do życia wygodnego był nie tylko jenerałem doskonałym, ale i najlepszym żołnierzem, bo najczujniejszym i najwięcej wytrzymałym, aby pokochać i niezgasłą czcią otoczyć tego walecznego wodza, i najlepszego człowieka. Znał on doskonale usposobienia ziomków swoich, znał charakter żołnierza polaka i rozumiał najlepiej może ze wszystkich owoczesnych jenerałów stanowisko nasze i jego wymagalności, nie dające się wyrozumować po drodze suchej i teoryczne), do jakiej przyzwyczaiła się większa część naszych jenerałów, wyuczonych w szkole wielkich, massami poruszających wojen Napoleońskich.

On umiał pojąć i w rachunek przyjąć siłę ducha moralną, którą drudzy poniewierali, bo nie podchodziła pod żadne formułki matematyczne. Dlatego też kochany był od swoich żołnierzy, jak żaden inny jenerał, bo żołnierz mianowicie nasz miał w tej mierze uczuciowy instynkt, prześcigający wszelkie rozumowania; dla tego był ciągle zwycięzcą, bo żołnierze nadgradzali wiarę w nich jenerała, walecznością i poświęceniem się bez granic. Gdyby nie zazdrość, która Dwernickiego wypchnęła jakby na stracony posterunek? lecz nie antycypujmy.

(Opis kampanii Dwernickiego umieszczony będzie w nowym kalendarzu lwowskim, który za staraniem redakcyi Nowin a nakładem księgarza Wilda wyjdzie w przyszłym miesiącu. P. R.)

Wspomnienia z podróży i wycieczek.

Przejazd po ziemi Dońskiej, przez W. D.

I.

(Ciąg dalszy.)

W tem idąc korytarzem, słyszę silne wołanie barytonu, jakiegoby nie jeden ze śpiewaków naszej włosko-polskiej opery pozazdrościł.

— «Sąsiedzie, sąsiedzie, czy nie łaska na małą przekąskę. I tak następnie powszechny appel ogłaszał, spraszając wszystkich do siebie.

Jakoż cały stół u tego porządnego człowieka już czekał zastawiony porządkami gastronomicznemi. Tu stały różne gatunki wyziny, marynaty z jesiotra i czeczugi i kawior świeży. Przy tem kilka butelek z różnemi nalewkami, a nareszcie porter i wino Kaukazkie — czychir. Wydobył po kolei z ogromnego jak skrzynia puzderka podróżnego kilka gatunków sera białego i zielonego. — Pisarzowa dostarczyła octu, oliwy i pieprzu, do którego wielką miał predylekcją nasz porządny sąsiad.

Wszedłszy zastałem już drugie nasze sąsiedztwo z przeciwległej stancyjki. Był to sobie stawropolski kupiec ze swoją familią: żoną, dzieciakami i dorosłą córką, melancholicznego spojrzenia, nieszpetną blondynką. Był także jakiś oficer liniowego batalionu Kaukazkiego, z pisarzem razem się dla braku numerów mieszczący. Odgrywał on rolę uczonego i filozofa, wyrokując absolutnie o każdej wiadomości i o każdym autorze. Tak więc całe zebrane było towarzystwo, jakie razem sprowadziło tu dziwactwo losu, czy też wyrachowanie pisarza.

— Co to za młodzież? spytał kupiec, wskazując na przeciwległy pokój.

— Zdaje się jacyś artyści podróżujący, — odpowiedziałem; — bo widziałem u nich różne instrumenta muzyczne.

— Jak to artyści? zawołał komissyoner, junkrowie jadący na służbę dopiero.

— Dla czegoż młody artysta, którego skronie bluszczem uwieńczyły muzy, nie miałby w krwawych zabawach Marsa szukać sławy dla siebie? odrzekła panna Nadieżda, córka owego kupca.

— Bardzo być może, masz słuszność Nadziu, dodał kupiec, teraz sztuki piękne mało popłacają. Artysta zamiast z głodu umierać, lepiej że będzie dosługiwał się stopni w szeregach Kaukazkich. Nasz Stawropolski teatr, co takie miał niegdyś powodzenie, jakże wyszedł? Oto antreprener jego, Zieliński, nie mogąc nakarmić publiczności komedją i wodewilami, zaczął ją karmić niedosmażonemi kotletami. Na traktjerni w parę lat zrobi majątek, a tymczasem w ciągu lat dziesięciu z górą dyrygując truppą, mało do zupełnej nędzy nie przyszedł.

Ledwieśmy rozpoczęli ucztę za przykładem podejmującego gospodarza, nalewając wiśniaku do kieliszków, gdy w tem rozległ się z przeciwległego pokoiku zmieszany dźwięk flotrowersu, skrzypców, gitar, szczęk miednic i rądlów. Myślałem że mi głową pęknie w tej chwili. Czarny *Rozbój* owego linijowego oficera, spokojnie leżący pod stołem i czekający na swoją kolej, rzucił się z całą siłą w okno na ulicę, wybijając szybę, której szkła smutnie zadźwięczały zewnątrz, zaczął wyć tym głosem złowrogim, jaki u Homeru zarazę zwiastuje Danajom.

Komissjoner z natężoną uwagą, z policzkiem wzdętym od porządnego kęsa, wsłuchując się chwil kilka, rzecze:

— Nie można powiedzieć, żeby to co grają było zbyt piękne; ale gdzie nie ma lepszej, dobrze i takiej posłuchać muzyki.

To mówiąc otwarł drzwi na rościeź i zapraszał donośnym i grzmiącym głosem mniemanych artystów do wspólnej uczty. Ci zdziwieni tym obrotem rzeczy, składają po jednemu swe narzędzia muzyczne, i na widok zastawionego stołu zbliżają się instynktowo i machinalnie.

— Proszę panów pozwolić sobie, zahuczał komissyoner i w tejże chwili chlusnął wiśniaku do szklanki, podając jednemu z młodzieży. — Czy prócz tego gracie co panowie? Bo to nie bardzo było w moim guście.

— Co pan rozkaże, to zagramy.

— Nic dziwnego, rzekła kupcowa, że wykonanie dobrze się nie wydało, bo instrumenta jakież mają! W drodze nie można mieć tego co na miejscu.

— Ja wielkim jestem zwolennikiem sztuk pięknych. mam honor oświadczyć, rzecze kupiec; żaden wojażujący artysta nie ominął mego domu, których mam trzy w Stawropolu. Skrzypek Parys zebrał za moją protekcją dobry fundusz w przejeździe do Tyflisu. Na koncert wiolonczelistki pani Chrystiani, sam dziesięć biletów kupiłem. A Zieliński, były antreprener naszego teatru, dzisiaj za moją radą majątek robi na kotletach i sosach. Panowie gdy przybędą do naszego miasta, proszę nie ominąć domu kupca S....

— A nawet czyby wam nie lepiej było w Stawropolu szukać karyery, w teatrze naprzykład, rzecze komissyoner; jabym wam dopomógł, mam tam swoje stosunki.

— Bardzobyśmy wdzięczni byli, teatr nam rzecz nie obca.

— Jakto, teatr także grywacie?

— Tak jest, jeśli wypadnie czasem potrzeba.

— A to rzecz wyborna! Jeśli nam tu wypadnie z tydzień posiedzieć, toby dobrze było swój teatr urządzić. Ale zkąd kostiumów dostać, dekoracyj?

— Częścią mamy je z sobą, a czego braknie, łatwo zastąpić ubraniem zwyczajnem.

Oficer liniowy, który dotąd do rozmowy się nie wdawał, zajadając z osobliwym apetytem marynaty i do każdego zwracając się tylko z pochwałami jesiotrów, czeczugi, lub serów, z uniesieniem wychwalając produkta swego linjowego marketana, zapytał:

— Jakież panowie grywają sztuki?

— Swojej kompozycyi najczęściej, rzekł jeden z młodzieży.

— To mi się podoba, gdyż to wielkie niedołęztwo teatrów, deklamować wiecznie to co inni napisali, co każdy często na pamięć już umie.

— Ale takie rzeczy, — odezwała się Nadieżda, jak *Romeo i Julietta,* jak wiele sztuk Wiktora Hugo, Dumasa, i t: p. zawsze się z przyjemnością słuchają, choćby po sto razy.

— Co ten Hugo lub Dumas? z przeproszeniem pani.

Tu zaczął łajać wszystkich uczonych i autorów, wyśmiewać wymieniając ich po imieniu, kogo tylko mógł spamiętać, sam siebie wciąż wystawiając jako prawdziwie uczonego, ale bez pretensyi, a przytem robiąc nawiasowo pochwały kaparów, to korniszonów i marynat rybnych, opowiadając o wybornym stole swego wuja, gestami i miną uzupełniając swe krytyczno-uczono-gastronomiczne postrzeżenia.

(C. d. n.)

Rozmaitość.

*Jules Janin, sławny krytyk francuski, towarzyszył raz księżnie Matyldzie w oglądaniu wystawy obrazów. Nagle księżna zpostrzegła iż wszystkich oczy zwracają się na nią a raczej na sławny brylant, który zawsze nosiła. Brylant ten był niegdyś w skarbcu Karola VI., dostał się potem do rodziny Demidowów. a księżna Matylda otrzymała go była w prezencie jako narzeczona od swego męża. Chcąc uniknąć nieprzyjemnego zagapiania się wszystkich obecnych w ten brylant, wyjęła go z mantyli i oddała do schowania panu Janin. Po dwu tygodniach był Jules Janin na obiedzie u księstwa. Obecne damy zaczęły coś mówić o brylantach. Nagle zrywa się Janin od stołu, chwyta za kapelusz i jak szalony wybiega. Wpada do domu. Gdzie kamizelka ta a ta?.. Podobno u praczki. Lecz poszukamy. Janin rozbija drzwi, szafki, komody. Nareszcie po dłuższem szukaniu dopada kamizelki, rękę posunął do kieszeni. Jak by się odrodził. Usiadł na sofę na chwilę a po chwili wpada z rozpromienioną twarzą do sali jadalnej książąt Demidowów, niosąc w triumfie oddany mu na wystawie do schowania brylant? — Ach czemuż mi księstwo nie przypomnieli, iż brylant jest w mojem schowaniu?— Myślałem, odparł książę iż jakieś nieszczęście stać się musiało a niechciałem panu robić nieprzyjemności.

Brylant ten jest-to sławny Sancy, wartości 2 milionów fr.

W nasieniu szparagów, odkrył Liebig zupełnie prawie tę samą substancją co w kawie (Kafein), nazwał ją taurin. Odtąd poczęto robić próby tak z młodemi jak i z wyrośniętemi szparagami. Pokazało się iż z nasienia szparagów, upalonego i zmielonego zgotowano najprzedniejszą kawę, mającą silniejszy prawie aromat, niż prawdziwa mokka.

Kto odkrył złoto w Australii. ? Mr. Edward Hammond Hargraves wydał w Londynie dzieło: o Australii i kopalniach złota, w którym historycznie konstatuje kto odkrył złoto australskie. W r. 1839 polak, imieniem Strzelecki, (Hargraves zwie go hrabią) przed-

się̇brał geologiczne poszukiwania australskich gór, i wtedy odkrył złoto w żyłach kwarcu. Zebrane tam minerały przywiózł do Londynu, i tam w spółce z sławnym geologiem angielskim Roderykiem Murchisson zastanawiał się dłużej nad własnościami pokładów australskich, porównywując je z formacjami uralskiemi. Na podstawie tych badań wydał Murchisson rozprawę, w której dowodzi wielkiego bogactwa złota w górach australskich wedle poszukiwań Strzeleckiego. Póżniej udał się Murchisson do ministra osad Greya, i zwrócił jego uwagę na to bogactwo do tego stopnia iż ten spowodował poszukiwania dalsze pokładów złota. Autor powyżej wspomnianego dzieła, Hargraves, sam zajął się poszukiwaniami temi, odkrył istotnie złoto, za co Rada prawodawcza tamtejszej osady wypłaciła mu 100.000 złr. mk. jako nagrodę.

* Przybył temi dniami z Krakowa do Lwowa znany młody artysta sztuki malarskiej pan Mikołaj Strzegocki, którego właśnie trzy nowe obrazy, między któremi *Lekcya duchowna w refektarzu* i inne, w krótce w Krakowie w mającej się tamże otworzyć Galeryi Dąbskich na widok publiczny wystawionemi będą. Zawodem jego są obrazy rodzajowe i religijne.

* Pozawczoraj zmarł w Czerniowcach przedsiębiorca teatru polskiego lwowskiego, Adolf Chełchowski.

* Już od dawna toczyła się kwestja zamknięcia okopiska starozakonnych, położonego śród gęsto zabudowanej części miasta a w stosunku do ludności żydowskiej zanadto szczupłego. Otóż ze względów sanitarnych, których istotność z powodu wybuchłej cholery, każdy przechodzący koło okopiska poznać mógł, woń bowiem nie miła z daleka z tamtąd zawiewała, zamknięto teraz okopisko, a dla starozakonnych upatrzono inne miejsce, koło Janowskiej rogatki. Gmina żydowska kupiła tam 10 morgów gruntu za 30.000 złr. m. k. który murem dokoła obwiedzie.

* Na dniu 23. Sierpnia zasłabło 24. a umarło 19. osób. Ogółem od powstania zarazy zapadło 5399, a umarło 2686 osób.

Przyjechali od dnia 22. do 24. Sierpnia do Lwowa.

Golejewski Jan hr. z Krzywczy. Coudenhove hr. ze Stryja. Kalinowski Wład. hr. z Bakowiec. Szeliski Kalasanty z Nowosiółki. Geringer Józef z Barszczowa. Jurkowski Ludwik z Brzeżan.

PP. Szczepański Wład. z Wiśniowczyka. Wysogórski Karol z Truskawca. Szwejkowski Jan z Radzicza. Baworowski Włod. hr. z Strussowa. Jorkasz-Koch Augustyn ze Stok. Zagórski Mieczy. z Wołkowa. Górski Maciej z Koszyc. Obertyński Leopold ze Stronibab.

Wyjechali od dnia 22. do 24. Sierpnia ze Lwowa.

PP. Komarnicki Ludwik do Krakowa. Ujejski Bron. do Luboża. Komarnicki Roman do Złoczowa.

PP. Postępski Franc. do Brodów. Wysocki Florian do Chodorowa. Żukiewicz Konstanty de Żółkwi. Floręcki Henryk do Żółkwi.

Kurs telegrafowany z Wiednia 24. b. m. o g. 2. popołud

Augsburg za 100 złr. .	$116\frac{1}{4}$	Pożyczka 5%	$76\frac{1}{8}$	—
Hamburg za 100 tal. banco	$84\frac{1}{2}$	Akcye banku		976
Londyn za 1 funt szterl.,	11 $12\frac{1}{2}$	Kolej północna		2045
Medyolan za 300 lirów	$114\frac{3}{4}$	Obl. ind.		66
Paryż za 300 franków .	$134\frac{1}{2}$	Nowa pożyczka z loterya		$98\frac{3}{8}$
Agio duk. ces.	$20\frac{3}{8}$	Pożyczka narodowa . .		$81\frac{1}{2}$

Wczorajszy **Kurs Lwowski**

		Gotówką				towarem.		
Dukat holenderski	złr.	5	kr.	20	złr.	5	kr	23
Dukat cesarski	„	5	„	22	„	5	„	25
Półimperyał zł. rosyjski	„	9	„	15	„	9	„	19
Rubel srebrny rosyjski	„	1	„	47	„	1	„	48
Talar pruski	„	1	„	43	„	1	„	45
Polski kurant i pięciozłotówka	„	1	„	18	„	1	„	19
Galicyjskie listy zastawne za 100 zł. bez kuponu	„	92	„	10		92	„	40
Galicyjskie obligacye indemnizacyjne bez kuponu		70	„	40	„	71	„	10
5 proc. pożyczka narodowa		80	„	30	„	81	„	15

Lwów, 24. b. m. Na dzisiejszym targu płacono korzec pszenicy ozimej po 37 złr. 30 kr. do 42 złr. 30 kr. — Żyta po 24 złr. 45 kr. do 25 złr. — kr. Jęczmienia po — złr. — kr. do — złr. — kr. Owsa po 10 złr. 30 kr. do 12 złr. 30 kr. Grochu po — złr. — kr. do — złr. — kr. Hreczki po 21 złr. — kr. do — złr. — kr. — Ziemniaków po 7 złr. — kr do 7 złr. 45 kr. Sąg drzewa bukowego 38 złr. 45 kr. do 41 złr 52 kr. Sosnowego po 33 złr. 45 kr. do 34 złr. w.w. Cetnar siana 3 złr. 8 kr. do 3 złr. 30 kr. Centnar słomy 2 zł. 20 kr. do 2 złr. 50 kr. w. w. Garniec 30 topniowej okowity bez opłaty 3 Złr. 50 kr. do 4 złr. — kr. w. w.

Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą: **H. W. Kallenbach.** Z drukarni **E. Winiarza.**